

„Bitter Sweet Halo”

Teivel, Władca Piekła - oto on - bezwzględny, zimnokrwisty, a przy tym oszalamiająco piękny. Ciemnobrązowe włosy miękko opadające mu na czoło, od czasu do czasu przysłaniały karmazynowe oczy. Był wysoki, dobrze zbudowany. Choć jego reputacja budziła trwogę, gdzieś głęboko w sercu, wbrew wszystkiemu, kiedyś znalazło się tam miejsce dla miłości.

Pewnego ciepłego poranka Teivel siedział na skraju Piekła, wpatrując się w bezkres przestrzeni. Po drugiej stronie nieba trwał Azrael — uosobienie czystości i dobroci, całkowite przeciwieństwo władcy czeluści. Azrael był również dobrze zbudowanym mężczyzną, o jasnej cerze i blond włosach, upiętych z tyłu głowy za pomocą delikatnych kwiatów. Jego lśniąca aureola połyskiwała w promieniach słońca. Wyglądał na zamyślonego, a może raczej na zagubionego w swoich myślach, wpatrującego się gdzieś w dal. Jego wzrok błądził po horyzoncie, aż natrafił na ciepłe spojrzenie Teivela.

Władca Piekła nie potrafił oderwać od niego oczu — za każdym razem, gdy spoglądał w kierunku Azraela, było tak samo. Chciałby odwrócić wzrok, a jednak coś w młodym mężczyźnie go przyciągało.

Przez kilka chwil Teivel po prostu patrzył. Dopiero po dłuższej ciszy w powietrzu rozległ się jego głos:

— Ładny widok — rzucił nonszalancko.

Azrael uniósł głowę i niemal zderzył się z jego spojrzeniem. Przez chwilę, która wydawała się trwać wieczność, patrzyli na siebie w ciszy. Na dziewiczej twarzy Azraela pojawiło się zmieszanie.

W jednej chwili Teivel przeskoczył z przeciwległej strony nieba i usiadł na obłoku tuż obok niego.

— Pięknie, prawda? — powiedział, zmniejszając dystans między nimi. — Chyba nigdy nie znudzi mi się widok twoich włosów... Są jak świetlista aureola.

— Nie powinienes tego mówić — odparł Azrael, spoglądając na niego łagodniejszym już wzrokiem.

Jego złote oczy iskrzyły się w słońcu, gdy delikatnym gestem odgarnął kosmyk włosów za ucho. Na twarzy pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech. Teivel przysiadł bliżej. W jego dłoniach zabłysnęło kilka płomiennych iskier, z których powstała czerwona róża. Z nieukrywanym podziwem wręczył ją Azraelowi.

— Dlaczego nie? — uśmiechnął się lekko. — Przecież to prawda.

Policzki anioła oblały się lekkim rumieńcem. Przyjął prezent z delikatnym zawstydzeniem.

— Tsk, tsk, tsk... — zaśmiał się Teivel, kiwając głową z udawaną dezaprobatą. — Władca Niebios nie powinien tracić mowy z powodu zwykłego komplementu. Gdzie twój majestat?

— Och, przestań! — zaśmiał się Azrael, odpychając żartobliwie jego twarz.

Teivel uśmiechnął się szerzej i oparł dłonie na kolanach, przyglądając się aniołowi z rosnącą fascynacją. Jego spojrzenie jakby utkwilo w oczach Azraela, nie chcąc już odejść. Spędzali razem dnie i noce. Teivel zawsze pojawiał się u boku Azraela, gdy tylko ten przysiadł na szczycie chmury, by podziwiać przepiękną panoramę nieba. Z czasem obaj zżyli się ze sobą — czekali na siebie z utęsknieniem, by spędzić wspólnie chwile w ciszy, pod rozgwieżdżonym niebem, przy ciepłym powiewie wiatru.

Azrael czuł to, tej jednej nocy, podczas której postanowił po raz pierwszy od dłuższego czasu żyć pełnią i chwycić dzień. Wiedział, że w tej chwili to on był w centrum uwagi. Jego kroki były jak rytm, którym łamał ciszę w pomieszczeniu. Niezwykle pewny siebie. Jego uśmiech był subtelny, ale złośliwy, a wzrok pełen tajemnicy, jakby podskórnie kazał Teivelowi zbliżyć się i zrozumieć coś, czego nie mógł jeszcze pojąć. Był jak gwiazda na niebie – nieosiągalny, ale wciąż obecny. Zbliżając się do Teivela, Azrael poruszał się powoli, jakby świat był tylko tłem dla jego osoby. Z każdym ruchem, każdym spojrzeniem czuł, że wszystko zależy od niego. Niczym w tańcu, to on wyznaczał tempo, to on rządził tym momentem.

Chwile były Złudne. Zabawne. Niczego nie oczekiwał, ale wszystko miał. Nie musiał mówić, wystarczył sam jego cień, by Teivel szukał go w każdej przestrzeni. Oczy Azraela błyszczały mroczną, niemądrą obietnicą, że mogło to trwać wiecznie. I może tak właśnie chciał, by trwało. Zamknął oczy na chwilę, czując, jak ten moment przenika go do szpiku kości. Był królem w tej grze. Zwycięzcą, a jednocześnie twórcą zabawy, która nigdy nie miała końca. Gdy spojrzał na Teivela, czuł się jak niewidzialna niebiańska siła, którą wybrany mógł jedynie podziwiać.

(...)

Nadeszła jesień.

Dni stawały się chłodniejsze, a noce coraz dłuższe. Jak zawsze, Teivel z niecierpliwością czekał na swojego wybranka. Ale tego dnia Azrael nie pojawił się. Ani nazajutrz. Ani nigdy później. Nieważne, ile Teivel trwał w oczekiwaniu — Azrael już nigdy nie wrócił do ich ulubionego miejsca.

Na przestrzeni lat Teivel próbował wszystkiego, co tylko przyszło mu do głowy, by Azrael do niego powrócił. Posyłał demony, by kusily go obietnicami, manipulował wydarzeniami, próbując zbliżyć do siebie Niebo i Piekło — lecz wszystko na próżno. Bez względu na to, jak bardzo się starał, Azrael zawsze pozostawał po drugiej stronie, nieosiągalny, odległy jak gwiazdy. W końcu Teivel zdecydował się na krok, którego zawsze unikał — na bezpośrednią konfrontację. Tym razem jednak desperacja była silniejsza niż rozsądek.

Stanął przed bramami Niebios, mierząc wzrokiem czyste, oślepiające światło królestwa. To miejsce było sprzeczne z jego naturą — odpychające, drażniące każdy nerw — ale jeśli właśnie tu miał znaleźć Azraela, był gotów do każdego poświęcenia. Wiedział, że nie będzie mile widziany. Wiedział też, że napotka opór — wścibskie anioły, czujnych strażników — ale nic z tego nie miało już znaczenia. Jedyna istota, która cokolwiek dla niego znaczyła, była tam, po drugiej stronie.

Teivel pchnął wrota. Natychmiast poczuł, jak otoczenie odrzuca jego obecność, każda część jego ciała instyktownie krzyczała, by uciekał. Świętość tego miejsca paliła skórę niczym żar. Ale zignorował ból. Zmusił się, by iść dalej, każdy krok był największym wysiłkiem woli. Czuł spojrzenia — chłodne, oceniające, czasem wręcz pełne odrazy. Wszystkie oczy były skierowane na niego. On jednak ich nie widział. Dostrzegał tylko jedną drogę, prowadzącą do miejsca, gdzie Azrael zasiadał na swoim tronie.

Szttywnym krokiem, pełnym niewzruszonej determinacji, Teivel ruszył przed siebie. Droga do Sali Tronowej nie była trudna do odnalezienia — znał ją na pamięć. W przeszłości bywał tam często, na balach organizowanych na znak pokoju między dwoma królestwami. Wtedy też Teivel miał szansę pierwszy raz zobaczyć Azraela...

Wkrótce stanął przed wielkimi drzwiami, za którymi biło serce Niebios. Teivel zatrzymał się na chwilę, a jego ręka zawisała nad drzwiami. Wątpliwości, jak cienie, przemknęły przez jego rysy, ale szybko je odrzucił. To była jego ostatnia szansa, jedyna, jaka mu pozostała. Z głębokim, drżącym oddechem otworzył drzwi i wszedł do środka.

Azrael siedział na tronie, ubrany w białą jedwabną szatę z delikatnymi złotymi detalami. Na głowie miał błyszczącą koronę, ozdobioną kwiatami, które były niemal nadprzyrodzoną świeżością. Gdy tylko Teivel przekroczył próg, jego wiśniowe oczy rozszerzyły się, jakby czas na moment zatrzymał się w miejscu. Teivel nie mógł oderwać wzroku.

Azrael wyglądał jak anioł. Wysublimowana, niemal eteryczna postać, ubrana w biały jedwab, zdobiony złotem oraz kwiatami — taki, jakiego pamiętał sprzed wieków.

Wzrok Teivela przenikał przez te białe szaty, próbując przywrócić wspomnienia sprzed czasu, wspomnienia, które teraz zdawały się odległe jak sen. Serce zaczęło bić szybciej, jakby w każdym uderzeniu niosło ze sobą całą tęsknotę, którą przez lata próbował stłumić.

Zrobił kilka kroków do przodu, jego stopy ledwo dotykały ziemi, jakby lądował na czymś nietykalnym. Podeszedł do Azraela, zbliżając się na tyle blisko, by poczuć zapach kwiatów w koronie, która ozdabiała jego głowę. W końcu uklęknął przed nim, a jego głowa pochyliła się w błagalnym geście, jakby prosił o coś, co już dawno stracił. Azrael patrzył na niego, a zmiany, jakie zaszły w tej postaci, były niezaprzeczalne. Jego twarz była poważniejsza, więcej blizn zdobiło jej powierzchnię, lecz wciąż była to twarz, którą Teivel pamiętał. Blizny stanowiły ostry kontrast wobec jego nieskazitelnej postaci, ale to nie zmieniało nic w jego oczach — Azrael wciąż był dla niego najpiękniejszym stworzeniem, jakie widział. Teivel wpatrywał się w niego, jego oczy zderzyły się z złotymi oczyma Azraela, a w jego głosie słysząc było głęboką tęsknotę, która tłumila wszystkie inne uczucia.

- Minęły wieki, kochanie.

Azrael zamarł. Tylko patrzył na niego, jego oczy rozszerzone, pełne zaskoczenia i... czegoś więcej. Może bólu, może żalu? Jego wargi drgnęły, ale nie wypowiedział żadnych słów. Wciąż patrzył na Teivela zdezorientowany, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Teivel uśmiechnął się miękko na widok zszokowanej miny Azraela, chłonąc każdy szczegół jego twarzy, jakby chciał zapisać go w pamięci na zawsze. Miał ochotę wyciągnąć rękę, przyciągnąć go do siebie i już nigdy nie puścić, ale powstrzymał się. Trzymał dystans, jakby wiedział, że teraz nie jest jeszcze czas na zbliżenie. Zamiast tego mówił dalej, a jego głos brzmiał szczerze, przepełniony głęboką, bolesną potrzebą.

- Tęskniłem za tobą.

- Nie powinno cię tu być, nie pozwolę ci już niczego zniszczyć.

Teivel poczuł, jak serce bije mu szybciej. Jego wyraz twarzy stawał się ostrzejszy, a płomienie w oczach płonęły intensywniej. Mówił spokojnie, ale każde słowo było przesyczone przekonaniem.

- Dla ciebie, mój ukochany patrzyłbym jak cały świat zamienia się w popiół, gdyby to oznaczało, że wrócisz do mnie.

- Przestań. - Jego głos opadł do cichego, intensywnego szeptu, jakby każda wypowiedziane słowo było w stanie rozerwać go od środka.

- Nie. Nie przestanę. Nie będę milczał, gdy los nas rozdzielił. Będę walczył, rozerwę ten świat na strzępy, jeśli to oznacza że będziesz tylko mój.

- Byłem kiedyś twój...A teraz to przeszłość... – Azrael wypowiedział te słowa chłodno, z niebezpiecznym cieniem w głosie.

Teivel zadrżał na te słowa, ale nie pozwolił, by zawahały go choćby na moment. Jego spojrzenie pociemniało, a twarz stała się zimna jak ostrze. Zbliżył się do Azraela, jego oczy płonęły.

- Nie mów tak. Byłeś mój i znowu będziesz. Nawet jeśli muszę wyryć moje imię w twojej duszy, byś przypomniawsobie, jak było kiedyś.

- Odejdź... proszę.

Oczy Teivela ciemniały z rozczarowania, ale i gniewu. Był tak blisko, czuł to w każdym centymetrze ciała, ale Azrael odpychał go na każdym kroku. Chciał go zabrać, zabrać z powrotem, ze sobą, do ich ulubionego miejsca w na jednym z obłoków, gdzie wszystko mogło być takie, jak kiedyś. Ale odmowa uderzyła go mocniej, niż się spodziewał.

– Powiedz mi... Czy naprawdę myślałeś, że znikając, zdołasz odciąć mnie od siebie? Że wymażesz to wszystko jednym tchórzliwym gestem? - Jego głos był twardy, jak z kamienia. Spojrzał na Azraela z determinacją, która miała w sobie coś niebezpiecznego.

Azrael wyprostował się nagle, wyciągając złoty miecz. Błysk ostrza przeleciał przez powietrze, rzucając zimny blask na całą salę. Teivel spojrzał na broń, a jego usta wykrzywiły się w lekkim, cynicznym uśmiechu. Broń nie robiła na nim wrażenia. Czuł się tylko silniejszy, bardziej zdeterminowany. To nie miało go powstrzymać. Podeszedł krok dalej, jakby w ogóle nie dostrzegał niebezpieczeństwa.

- Odlóż miecz, kochanie. Nie odważyłbyś się mnie skrzywdzić.

Zanim zdążył dokończyć zdanie, poczuł, jak jego ciało zostaje powalone na ziemię. Ostrze Azraela lśniło przy jego szyi, a sam Azrael górował nad nim, patrząc na niego z lodowatym spojrzeniem. Zaskoczenie w oczach Teivela było krótkie, ale intensywne. Nie spodziewał się, że Azrael będzie tak szybki. Zamiast bólu, na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. Spojrzał na niego z wyrazem zarożumiałej przekory, jakby chciał sprowokować go do jeszcze większej walki.

- Ostra zabawa? – Jego ton był wyzywający, ale w jego głosie brzmiało też coś niepewnego. „Ostrożnie, kochanie. Możesz mnie doprowadzić do szału.”

- Zabierzcie go – Azrael powiedział to z widoczną irytacją, nie patrząc już na Teivela. Odwrócił się, jakby nie miał już czasu na tę rozmowę.

Strażnicy chwycili Teivela, szarpiąc go za nogi i wyrywając z obecnej pozycji. Siła ich uścisku była nieugięta, a Teivel wiedział, że nie ma sensu walczyć. Był na terytorium wroga, a przewaga liczebna była zbyt wielka, by się opierać. Patrzył na Azraela, który oddalał się, ale nie potrafił zrozumieć, dlaczego to wszystko poszło w tę stronę. Zamiast oczekiwanego powrotu, zobaczył gniew.

Gdy strażnicy prowadzili go do wyjścia, Teivel nie przestawał o nim myśleć. Tak bardzo chciał go odzyskać, że nie zważał na ryzyko. Był gotów na wszystko, by ponownie stanąć u jego boku.

Czas mijał, a Teivel nie poddawał się. Jego pożądanie Azraela nie osłabło. Przeszukiwał starożytne księgi, konsultował się z demonami, przekładał zaklęcia, próbując znaleźć drogę, która połączyłaby niebo i piekło. W końcu, po wielu miesiącach, natrafił na coś, czego szukał. Zaklęcie w starożytnej księdze, które mogło otworzyć portal przez rzeczywistość. Teivel wiedział, że to ryzyko, które przyciągnęłoby uwagę zarówno aniołów, jak i demonów. Ale nie obchodziło go to. Zaczynał zbierać potrzebne materiały. Wiedział, że nie ma innej drogi, by powrócić do Azraela. I to był jedyny cel, który się liczył.

Kilka dni później, gdy wszystko było gotowe, Teivel stanął w samym centrum kręgu, którego symbole na ziemi błyszczały tajemniczym, nieziemskim światłem. Powietrze wokół niego drżało od magicznej energii. Czuł, jak sama rzeczywistość staje się cienka jak pajęcza nić, gotowa pęknąć pod wpływem tego, co miało się wydarzyć. Teivel wziął głęboki oddech, próbując uspokoić buzujące w nim emocje, uniósł ręce ku górze. Kiedy zaczął inkantację, jego głos miał mroczny, uzależniający ton, jakby każde słowo miało moc wyrzycia się w duszy Azraela.

- Zatrzymam cię tu, gdzie nie ma nadziei - mówił, jego głos mienił się echem w przestrzeni. - Twój ból będzie moim, a twoje cierpienie będzie moim triumfem. - Jego głos niósł się po mroku, brzmiąc tajemniczo, pełen mrocznej uwodzicielskiej mocy. Słowa zaczęły wypełniać przestrzeń wokół niego, a cała rzeczywistość zaczynała się przechylać, jakby granice pomiędzy niebem a piekłem stawały się coraz bardziej elastyczne.

Z każdą kolejną linią zaklęcia, Teivel czuł, jak energia przepelnia jego ciało, wzbierając w nim nieokiełznaną moc. Świat wokół niego zaczął drzeć, a granice rzeczywistości stawały się coraz bardziej zamglone, jakby zaraz miały się całkowicie zatarć.

Gdy inkantacja zbliżała się do końca, Teivel poczuł, jak wszystko w jego ciele drży z napięcia. Jego głos nabrał nieco wyższego tonu, stając się bardziej natarczywy, gdy zaczynał przywoływać to, czego pragnął. Po chwili, z ostatnim, desperackim okrzykiem, wypowiedział ostatnie słowa. Zaklęcie przerwało ciszę, która po nich zapadła, otwierając portale do innego świata.

Powietrze zadrżało, a przez zerwaną tkaninę rzeczywistości wyłonił się Azrael, opadłszy na ziemię wyczerpany i zdezorientowany. Teivel upadł na kolana, czując, jak siły opuszczają jego ciało. Zaklęcie wzięło swoje żniwo – wypaliło go niemal całkowicie. Zawisł w przestrzeni, drżąc z wyczerpania, ale jego oczy natychmiast skierowały się na Azraela, który leżał na podłodze, niezdolny do podniesienia się.

- Kochanie... Nic ci nie jest? – zapytał Teivel, a w jego głosie można było wyczuć troskę, choć wyraz jego twarzy wciąż był twardy.

Azrael, ciężko oddychając, uniósł głowę, spoglądając na Teivela z niedowierzaniem i strachem.

- Coś...ty uczynił? - Jego głos drżał, a oczy były pełne lęku i przerażenia.

Teivel nie odpowiedział od razu. Spojrzał na niego, jakby sam próbował pojąć, co się działo. Zamiast tego, jedynie skinął głową.

- Zrobiłem to, co musiałem - powiedział, patrząc na niego z triumfem. - Ale zrobiłem to dla ciebie, dla nas.

Azrael cofnął się, próbując wstać, ale jego nogi nie utrzymały go. Upadł z powrotem na ziemię, ledwo oddychając.

(...)

Dni zamieniały się w tygodnie, Teivel uwięził Azraela w pięknej złotej klatce ze starannie wyrzeźbionymi szczegółami. Codziennie spędzał czas przy Azraelu. Widział, jak siły powoli opuszczają go, jak słabnie. Z każdym dniem jego ciało było coraz bardziej blade, ruchy coraz bardziej sztywne i niezdarne. Demon patrzył na niego, nie mogąc oderwać wzroku, wciąż pełen mieszanych uczuć – pożądania, tęsknoty i obsesji. Teivel nie mógł tego znieść, lecz jednocześnie czuł dziwną satysfakcję. Azrael był teraz tylko jego – nie miał siły, by uciekać, a w piekle nie było nikogo, kto by go zabrał. To, co Teivel zrobił, miało swój koszt, ale nie obchodziło go to. Chciał go w ten sposób – powolnie, stopniowo niszczonego. Jego dusza i ciało wciąż należały do niego.

Teivel potrafił spędzić godziny, po prostu siedząc na zewnątrz klatki, patrząc, jak Azrael się zmienia, jak jego błysk w oczach zanika. Każdego dnia patrzył na niego z mieszką podziwu i okrutnej fascynacji.

- Złamałem cię, mój aniele. Złamałem cię, a teraz jesteś mój.

- Możesz mieć moje ciało i moją dumę - powiedział Azrael, przerywając milczenie, jego głos był ledwie słyszalny. - Ale już nigdy znów nie posiadasz mojego serca...

Teivel zaśmiał się głośno, a jego wzrok stał się nieprzenikniony.

- Teraz może ci się tak wydawać, mój drogi. Lecz właśnie trafiłaś do mojego świata. Nie zdążyłaś zobaczyć, do czego jestem naprawdę zdolny. Potrafię być bardzo skuteczny, gdy tylko czegoś pragnę, a w tej chwili chcę ciebie. Całego ciebie. Twoje ciało i duma to dobry początek, jednak wkrótce posiadam również twoje serce.

Azrael odwrócił głowę, a w jego oczach pojawił się gniew. Jednak jego siły z każdym dniem były coraz mniejsze. Drżał, a z jego ust wydobył się cichy, kaszlący dźwięk.

- Wolałbym umrzeć...

Teivel poczuł, jak gniew wybucha w jego sercu. Jego uścisk na prętach klatki stał się nie do zniesienia. Te słowa, że Azrael wolałby umrzeć, zamiast mu się poddać, bolały bardziej niż cokolwiek innego.

- Nie mów takich rzeczy - warknął. - Nie masz pojęcia, jak to mnie rani. To nie będzie koniec. Nigdy nie pozwolę ci umrzeć, nie pozwolę ci już nigdy mnie zostawić, odstąpić na krok, spojrzeć w inną stronę...

W trakcie gdy dni zmieniały się w tygodnie, Teivel nie mógł nie dostrzec zmian w aparycji Azraela. Wyglądał na bledszego, słabszego, nie przypominał już siebie. Teivel nie mógł tego znieść, męczyła go myśl, że Azrael może mu się po prostu ulotnić. Teivel zdawał sobie sprawę, że jest to prawdopodobne, że piekło nie jest najlepszym miejscem dla anioła, jednak miał nadzieję, że Azrael będzie bardziej wytrzymały. Z każdą następną wizytą Teivel czuł się coraz bardziej niespokojny, a na jego twarzy malowały się ślady zmartwienia i stresu.

W ciągu kolejnych dni troska Teivela przerodziła się w panikę. Stan Azraela tylko się pogarszał, a świadomość, że był aniołem dawała znać o sobie z upływem dni. Demon spędzał coraz więcej czasu przy jego klatce, obserwując go w milczeniu, kiedy tam leżał, blade i słaby.

Każdego dnia odczuwał pragnienie, by otworzyć klatkę i wziąć w ramiona ukochanego, by przenieść go do swoich komnat, gdzie sam mógłby się nim zaopiekować. Jednakże wiedział, że to jedynie doprowadziłoby do śmierci Azraela, a tego nie mógłby znieść.

- Kiedy odszedłeś... – szepnął. - Nie tylko mnie zostawiłeś. Zabrałeś ze sobą całą moją nadzieję. Nie chcę nawet wiedzieć dlaczego. Nie byłbym w stanie znieść prawdy.

Desperacja Teivela rosła z dnia na dzień, gdy obserwował pogarszający się stan Azraela. Jego słabe i apatyczne oblicze w klatce nieustannie kłuło Teivela w serce. Mężczyzna starał się zrobić wszystko, by Azraelowi było wygodniej, dbając o to, by miał zapewnione jedzenie, wodę i ciepłe miejsce do spania, ale nie robiło to żadnej różnicy. Wiedział, że kończy mu się czas, że Azrael powoli mu się wymyka. Ta świadomość wywoływała u niego zimne dreszcze i panikę, i chyba po raz pierwszy w życiu czuł się prawdziwie bezsilny.

Teivel siedział opierając się o klatkę, obserwując go dokładnie. Na początku nie zauważył nic nowego, ale w miarę upływu czasu, kiedy noc stawała się coraz chłodniejsza, zaczął uświadamiać sobie, że coś jest nie tak. Patrzył, jak Azrael zaczynał się delikatnie trząść, a jego oddech stawał się płytki i ciężki. Gdy jego oczy przyzwyczaiły się do nikłego światła, ujrzał płynącą z nosa i ust anioła stróżkę krwi.

- Nie... nie, nie, nie... najdroższy? Miłości, spójrz na mnie.

Azrael leżał na ziemi, płacząc i trzęsąc się delikatnie.

- Błagam, po prostu mnie zabij, nie mogę tak dłużej...

Oczy Teivela rozszerzyły się z przerażenia, gdy usłyszał, jak Azrael prosi o śmierć. Widok tak słabego i pokrzywdzonego Azraela był dla niego zbyt bolesny. Chwycił pręty klatki, a jego palce zacisnęły się na tyle mocno, że jego kostki pobielały.

- Nie. Nie ma mowy. Nie dopuszczę do tego, nie dam ci umrzeć. Nie mogę cię stracić...

Jego głos był przepełniony emocjami, błagał go, by się nie poddawał, by pozostał przy życiu, pomimo tego, że cierpiał.

I tak mijały kolejne noce, Azrael nie mógł się już ruszyć, podłoga była przesiąknięta jego krwią i łzami. Przy każdej wolnej chwili Teivel siedział przed klatką i przyglądał się, jak Azrael popada w coraz większą agonię. Był na granicy szaleństwa, nie potrafiąc znieść widoku Ukochanego w takim bólu i niemocy. Wiedział, jak życie ucieka z jego ciała z każdym mijającym dniem, a to rozdzierało jego serce.

A mimo to nie potrafił zmusić się do podjęcia jakichkolwiek działań, by załagodzić jego cierpienie. Był rozdarty między swoim pragnieniem utrzymania anioła przy życiu, a koniecznością położenia kresu jego bólowi. To był torturujący dylemat, którego nie był w stanie rozstrzygnąć.

Czas płynął nieubłagalnie. Teivel nie opuszczał ukochanego na krok, nie potrafił znieść myśli o pozostawieniu Azraela samego. Jego własny stan psychiczny również się pogarszał, rzadko jadł i spał. Jediną rzeczą, która utrzymywała go przy życiu, była desperacja.

Próbował wszystkiego, co przyszło mu do głowy, zaklęć, magii, leków z samego piekła. Nic nie skutkowało, nic nie mogło uratować jego ukochanego. Czuł się naprawdę beznadziejny, jakby toczył przegraną bitwę.

Pewnej nocy Teivel nagle się zbudził, wzrok od razu spadł na Azraela, który wpatrywał się w gwieździste niebo rozpalone piekielnymi płomieniami, chociaż na jego twarzy dalej malował się ból i niechęć, widać też było spokój. Władca Piekieł wpatrywał się w mężczyznę jak w najwspanialszy obraz, namalowany ręką samego Boga... Wtedy w jego głowie pojawiło się wspomnienie, czas spędzony z ukochanym, czas, w którym nie musieli się o nim martwić i żyć chwilą.

Była to noc.

Najpiękniejsza, najbardziej szalona. Teivel – zawsze pierwszy do głupich pomysłów – namówił Azraela na zakazaną wyprawę do Doliny Świąteł. Miejsce owiane legendami, tak piękne, że aniołowie szeptali o nim tylko w snach. I Azrael, tak zwykle ostrożny, dał się porwać. Biegli wtedy przez mosty utkane z mgły, chowali się za filarami ze światła, a ich śmiech niósł się w górę, aż do samych gwiazd. Azrael – ten poważny, ten zawsze opanowany – śmiał się jak dziecko. Beztrosko, lekko. W tamtej chwili nie istniało nic poza nimi. A potem, kiedy strażnicy ich dogonili i postawili przed Najwyższymi istotami zaświatów, Azrael nawet nie próbował się bronić. Stał obok Teivela, z wysoko uniesioną głową i oczami, które potrafiły niekiedy powiedzieć więcej niż jakiegokolwiek słowa. To był ich moment. Czysty, piękny, jak iskra, która nie gaśnie – nawet wtedy, gdy wszystko inne zaczyna się walić.

Ta przygoda od razu przywołała uśmiech na twarzy Teivela, po którym dawno nie było śladu. Po drugiej stronie złocistych krat Azrael, również był pochłonięty w myślach, czuł na sobie wzrok Teivela. Jego twarz nie dawała tego po sobie poznać, ale w tym momencie jego głowa wypełniona była myślami i wieloma niewypowiedzianymi słowami.

– Boli. Boli tak bardzo, że nie wiem, czy to ból, czy już umieram. I wiesz co, Teivel? Już nie wiem, co jest gorsze. To wszystko... co mi zrobiłeś, co ja sobie zrobiłem... To przekleństwo – nie umiem cię nienawidzić. Ale nie potrafię wrócić do uczuć jakie miałem do ciebie na początku. Nienawidzę cię za to, że jesteś tym, który mnie zniszczył, a potem nie potrafił pozwolić mi odejść. Nie umiesz puścić ani mnie, ani tego, co było. A teraz? Teraz czuję się jak ta rozdarta połówka, rozkładającą się na podłodze, w kałuży krwi. Ale nie mogę przestać patrzeć na ciebie i wciąż pragnę, żebyś mnie uratował. Zatraciłem to, co miało sens, i teraz została mi tylko to dziwne uczucie pustki w sercu, które wypełniasz ty – czy chcesz, czy nie. Jakbyś wciąż był moją przeszłością i moją przyszłością, mimo że wiem, że nie powinniśmy byli mieć nic wspólnego już od początku. I może kiedyś to była miłość...może. Ale teraz? Teraz to nie jest nic. I nie wiem, czy chcę cię nienawidzić, czy cię kochać.”

W jednym momencie anioł położył swoją dłoń na dłoni drugiego mężczyzny. Jego ręka kurczowo trzymała dłoń Teivela, choć siły szybko go opuszczały. Jego oddech stał się płytszy, a w oczach wciąż było coś, co nie pozwalało mu odwrócić wzroku od Teivela. Ciało pełne bólu, ale umysł wypełniony myślami.

- To nie był błąd... Nie taki, jak myślisz... - Jego głos był ledwo słyszalny, ale każdy dźwięk wypowiedziany przez niego odbijał się echem w ciszy. - Nie wiem, co ci teraz powiedzieć. Nigdy nie wiedziałem.

Cisza. Teivel wpatrywał się w ukochanego, a łzy same napływały mu do oczu. W tej chwili Azrael nie potrzebował już niczego więcej. Czuł, że nareszcie coś w jego ciele opadało. I choć jeszcze w głębi serca miał uczucie, które nazywał miłością, nie było ono już tym samym uczuciem.

- Czułem do ciebie niechęć... Ale tak naprawdę to byłeś moją jedyną słabością, dlatego tak bardzo cię znienawidziłem.

Teivel pochylił się, przyciskając czoło do chłodniejącego ciała.

– Dlaczego dopiero teraz to mówisz?

- Bo... - Azrael zadrżał, a jego spojrzenie straciło ostrość a na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech - bo dopiero teraz rozumiem.

Milczenie, które zapadło, było ciężkie. Jakby cały świat zatrzymał się, czekając na ostatnie słowo.

(...)

- Teivel, żyj z miłością, przyjmij ból, słabość i chwile tak nie do zniesienia haniebne. Wybacz sobie... Raz za razem, bez końca... Bo od tego wszystko się zaczyna.

Rękę Azraela ogarnął zimny dotyk, a oczy zamknęły się już na zawsze. Jego łagodny wzrok, przepełniony bólem, stał się tylko wspomnieniem, które miało trwać w sercu Władcy Piekieł.

Umarł.

Teivel patrzył na martwego Azraela z niedowierzaniem, jego serce pękało z bólu. Zbliżył się do niego powoli, czując, jak niewyobrażalna pustka wypełnia każdą komórkę jego ciała. Złożył ostatni pocałunek na chłodnych ustach ukochanego, jakby chciał poczuć w sobie coś, co już odeszło, coś, co nigdy nie wróci. Jego wargi spotkały martwe usta Azraela, a w tej chwili Teivel poczuł tylko ciszę, jakby całe piekło milczało w tej jednej sekundzie. Wtedy zrozumiał. Czuł, że w tym momencie część jego samego umierała na zawsze.

KONIEC.